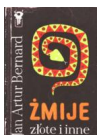


- Autor: **Bernard Jan Artur**
- Tytuł: **Żmije złote i inne**
- Wydawnictwo: Iskry
- Seria: Klub Srebrnego Klucza
- Rok wydania: 1972
- Nakład: 100275
- Recenzent: [Wiesław Kot](#)
- Recenzja: 3/2011

[LINK Recenzja Amudeny Rutkowskiej](#)



Kocham bełkot - i pocałujcie mnie wprost.

Intrygujące. Prosta, klarownie poprowadzona intryga, ale to przecież nie jest aż takie dziwowisko. A jednak rzecz czyta się z zacięciem powyżej przeciętnej. Dlaczego? Bo autor zdradza niepowседневną inteligencję językową. Nie -- sprawność, łatwość, potoczystość. To, co pisze jest powyżej tych przymiotów: on inteligentnie widzi kolejne sytuacje i daje im wyraz w dowcipnej polszczyźnie. Mówię tu o dowcipie, który daleko wykracza poza średnią milicyjną. To, jak pisze bawi nawet dziś, po czterdziestu latach od premiery. Co prowadzi do sugestii, że autor "Żmije złote i inne" dwójga imion Jan Artur i jednego nazwiska Bernard to jakaś obrotna w literaturze osoba, która obrała sobie taki imienny pseudonim. Klubowicze bardziej odczytani niż ja może już dawno ją zlustrowali, a ja, prostaczek, przeżywam objawienie.

Ale ciut, o czym to jest. Jasio, anatomopatolog krótko przed specjalizacją, a na świeżym kacu -- pamiętamy: kac morderca nie ma serca -- pochyła się w zakładzie medycyny sądowej nad świeżym trupem. Rozpoznaje w nim Wójcikową, u której mieszkał jako student. Ktoś staruszkę dziabnął i zgarnął dolary, które przysyłał syn ze Stanów. Opcja zerowa -- teoretycznie mógł to być każdy, choć staruszka jednak mu otworzyła, a z obcymi rozmawiała tylko przez łańcuch. Przed kapitanem o nieprzypadkowym nazwisku Bula zeznaje siostrzenica zamordowanej --

miniowa i spłoszony wzrok panienki, która jednak wie, co ma i po co. W cykl przesłuchań wplątuje się lisiomordy adwokat, przyjaciel zmarłej, który jednakowoż włóczy się po lokalach. A tym, jak stwierdza narrator, brakuje tylko głośników, które zapowiadałyby pociągi. Do pełni sznytu. A tu jeszcze napatoczył się plastik, u którego znaleziono precjoza denatki -- same węże z zaschniętymi kroplami krwi. Te węże z tytułu, bo staruszka miała bzika na tym punkcie. Plastik idzie siedzieć, ale trup ściele się dalej. I to tak perfidnie, że Jaś staje się głównym podejrzanym. I kombinuje na własną rękę, aby się oczyścić. Tu -- krecha, bo jak to się odbyło, to już ostatnie 30 stron. Ale przebiegło inteligentnie.

Ale nade wszystko miło poczytać, co autor odkrył w polszczyźnie, a na co sami byśmy nie wpadli. I tak pokój po imprezie "przypomina ogromna kryształową popielniczkę po bankiecie na cześć orkiestry symfonicznej". A na zewnątrz "dzień był piękny do obrzydliwości". Matka swojego jedynaka "rozpaskudza", znaczy rozpuszcza. A ten mieszka w kamienicy utrzymanej w stylu "pan nie wie, kto ja jestem". A kapitan milicji? "Jego prawa brew powędrowała do góry, jakby pozował do próbnego zdjęcia w konkursie na rolę Mefista". Czasami ma minę "zakonnicy wynoszącej do śmieci świąteczny numer "Playboya". Cokolwiek by to miało znaczyć. I to biegnie dalej. Bo jak pewien mecenas się uśmiecha, jest to "uśmiech nauczyciela geografii, który zszedł na złą drogę". Kiedy idzie w kondukcje prezentuje "minę starego sępa, który upuścił łup". Kiedy zaś narratorowi Jasiowi zdarzy się chwila zapomnienia, gapi się "jak cieleń na helikopter". W kawiarni grupa pijaków pochyla głowy nad szkłem "jakby ustalając hasło na dzisiaj". A kiedy bohater Jasio udaje się na nowe osiedle, notuje: "tak mogłaby wyglądać pierwsza kopalnia odkrywkowa na księżycu". W godzinę później kłania się znajomym "jak szef skupu na festynie ludowym". Kiedy z kimś rozmawia, relacjonuje: "chłonał moje słowa jak krople waleriany". A dobry humor opuszcza go jak "biedronka, która dotarła do końca palca". Jest i dziewczyna o włosach "koloru połoniny zaraz po zejściu śniegów". Ble ble, ale kocham to.